

Jesteśmy, ale nas nie ma.

Kobiety w polityce międzynarodowej

Dr Iwona Reichardt

Polityka zagraniczna to obszar, który od pewnego czasu w demokratycznym świecie rozwija się w oparciu o tzw. paradygmat relacyjny. Zakłada on, podobnie jak ma to miejsce w innych obszarach życia społecznego, budowanie więzi (relacji) pomiędzy podmiotami, czy to o charakterze państwowym czy pozapaństwowym. Stąd tak duże znaczenie przykładu się do kategorii, jakimi są zaufanie czy kapitał społeczny. Ich zwiększaniu służy szeroko obecnie propagowany model dyplomacji publicznej, który z coraz to większym nasileniem próbują wdrażać współczesne ministerstwa spraw zagranicznych, kładąc tym samym nacisk na tzw. aspekty miękkie (komunikacja, kultura, historia, tradycja) i wyodrębniając w relacjach międzypaństwowych to, co nas łączy, tym samym niejako redukując to, co dzieli.

Te same cele przyświecać mają działaniom nowoczesnej dyplomacji, a także wszystkim instytucjom ją wspierającym (think-tankom, centrom analitycznym, środowiskom akademickim, organizacjom państwowym i fundacjom prywatnym). Nietrudno się domyślać, że w obrębie paradygmatu relacyjnego zatarciu ulegają dotychczasowe zhierarchizowane, niereprezentatywne modele działania organów publicznych, które zdają się tworzyć swoisty anachronizm w stosunku do dynamicznie zmieniającego się świata rzeczywistego. Innymi słowy, relacyjnie oznacza również bardziej demokratycznie, a zatem z równoprawnym uwzględnieniem różnych podmiotów. W tym, rzecz jasna, i kobiet.

Tyle teorii. Teraz praktyka. I to praktyka, o której mówimy rzadko (wiadomo przecież, że gdzie jak gdzie, ale w dyplomacji milczenie jest złotem, a milczenie na tematy trudne to już wręcz platyna), lecz problem jest ważny i mówić trzeba. A mianowicie, jak w tym nowym sposobie realizowania polityki zagranicznej odnajdują się kobiety i czy naprawdę analizując współczesne sposoby jej wdrażania mamy do czynienia z wielowymiarową relacyjnością, a co za tym idzie także równością podmiotów? I to podmiotów nie tylko instytucjonalnych, lecz także indywidualnych (a zatem tak samo mężczyzn jak i kobiet).

Pytanie to nurtuje mnie już od dawna, ze zwiększoną intensywnością powraca ono jednak w trakcie tzw. branżowych konferencji poświęconych relacjom międzynarodowym, gdzie notorycznie można odnotować niereprezentatywny udział kobiet i nadmierną dominację mężczyzn. Te karykaturalne spotkania, o których pisałam już na łamach „Zadry” w tekście o klubikach męskich, są bez wątpienia zmartwieniem naszych czasów. Świadczy o tym chociażby facebookowa grupa „Nie chodzę na panele, w których występują tylko mężczyźni” czy

opublikowane 8 marca br. na łamach renomowanego amerykańskiego pisma „Foreign Policy” siedem reguł jak uniknąć stuprocentowo męskich paneli (*How to Avoid All-Men Panels*) autorstwa cenionej analityczki Jacquelin O’Neill. Wiele emocji wzbudzają również zdominowane przez mężczyzn ciała nadzorcze, rady programowe i wszelkiego rodzaju zacne gremia doradcze. W Polsce takie zjawisko to niestety norma.

W kontekście dociekań nad rzeczywistą implementacją paradygmatu relacyjnego, drążę temat męskich paneli i konferencji organizowanych z wyłączeniem przedstawicielek płci żeńskiej. Nurtuje mnie także problem zauważalnej w obszarze polityki zagranicznej dysproporcji pomiędzy kobietami a mężczyznami, szczególnie na stanowiskach kierowniczych, czy w rolach przywódczych. W swoich badaniach wychodzę poza ramy zwykłej obserwacji i zaczynam pytać o opinie kolejne kobiety, które są bezpośrednio zaangażowane w tworzenie polityki zagranicznej. Moje rozmówczynie pracują w trzech europejskich stolicach (Warszawie, Berlinie i Kijowie). Rozmawiam z nimi w ich miejscach pracy, ale też spotykamy się w kawiarniach i na konferencjach. Ciekawi mnie, jak patrzą na swoją pozycję w świecie szeroko rozumianej dyplomacji i jaka jest ich interpretacja tego świata. Czy jest on oparty na tradycyjnej dominacji mężczyzn, a relacyjność to jedynie postulat, czy też rzeczywiście realizowany jest w jego obrębie postulat równouprawnienia?

Swoje badania rozpoczynam od Warszawy. Rozmawiam głównie z analityczkami, ale też spotykam się i konsultuję z dziennikarkami i pracownicami instytucji państwowych. Większość ma podobne opinie. Moje rozmówczynie różnią się jedynie w niuansach. Gdy pytam o sytuację kobiet entuzjazmu raczej u nich nie widać. „Bardzo często widzę, jak niewiele koleżanek jest na spotkaniach”, mówi mi ekspertka w dziedzinie relacji polsko-niemieckich, zatrudniona w jednym z czołowych warszawskich think-tanków. „Można powiedzieć metaforycznie, że są same krawaty i garnitury, a bardzo niewiele kobiet. To są procenty naprawdę niewielkie”, dodaje. „Dlaczego?”, pytam. W odpowiedzi słyszę, co później potwierdzi niemal każda następna rozmówczynie, że to kwestie kulturowe. Polskie kobiety są – w jej opinii – bardzo ugodowe. Nie lubią (i nie chcą) się promować. Zabierają głos tylko wtedy, kiedy mają naprawdę coś ważnego do powiedzenia. A i wtedy muszą być pewne swojej wiedzy. To właśnie najbardziej widać w relacjach i tworzeniu polityki. Zupełnie inni – jak dalej podkreśla ta sama rozmówczynie – są mężczyźni. „Może tu będę wręcz niegrzeczna wobec kolegów, ale mam wrażenie, że oni bardzo często wypowiadają się po to, żeby cokolwiek powiedzieć. Żeby zabłysnąć. To jest właśnie ta cecha polityki zagranicznej, gdzie bardzo często o wiele młodszy mężczyźni, często tuż po studiach, mają tak silne przekonanie o swojej wiedzy i tak bardzo chcą się pokazać, że przebijają się, niemal

wypychając dużo od nich starsze koleżanki, które mają doświadczenie i mogą przedstawić ciekawą ekspertyzę”.

Na próżno szukałam osoby, która miałaby w tej kwestii zdanie nieco odmienne. „Brakuje nas i tyle,” najdosadniej ujęła to jedna z kobiet, która politykę zagraniczną wyklada na wyższej uczelni, gdzie – jak wielokrotnie słyszałam – sytuacja jest i tak o wiele lepsza niż ma to miejsce w tzw. świecie eksperckim. „A jak już jesteśmy, to jakby nas nie było”, stwierdza chwilę później.

Zaintrygowana tak wyrażoną opinią pytam o zdanie kolejną rozmówczynię, analityczkę Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Dziewczyna, która, wyrastała w rodzinie pracownika polskiego korpusu dyplomatycznego i która, metaforycznie ujmując, politykę zagraniczną wyssała niemal z mlekiem matki mówi mi wprost: „Mężczyźni faktycznie mają lepiej. Pracujemy w świecie, który wszystkim nadal kojarzy się z mężczyznami. Jest to świat tak zwanej wielkiej polityki. Można go nawet określić mianem ‘tajemnej sfery’, gdzie tylko nieliczni mają dostęp.” Dalej odwołując się do doświadczeń przeszłych podkreśla: „Nie możemy przecież zapominać, że przez wiele lat tylko i wyłącznie mężczyźni byli dyplomatai. A to oznaczało, że to mężczyzna wyjeżdżał za granicę. To mężczyzna był ambasadorem, pracownikiem ambasady, poselstwa. Żona, co najwyżej, mogła mu towarzyszyć, ewentualnie pracować jako ktoś w randze pomocnika ambasadora czy w sekretariacie”.

Zdawałoby się jednak, że te lata mamy za sobą. W polskiej dyplomacji nie brak pań ambasador, również na tzw. placówkach strategicznych, jak chociażby Moskwa, gdzie funkcję ambasadora pełni Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz. Moja rozmówczyni zgadza się ze mną, że trend, który wcześniej opisała „zmienia się tak samo, jak w XX wieku zmienił się świat”. Jej zdaniem jednak „obszar relacji międzynarodowych jest ciągle jeszcze zarezerwowany dla mężczyzn”. I jak tu temu zaprzeczyć jeśli – jak dalej wskazuje – „w naszej historii była tylko jedna pani minister spraw zagranicznych.” Bez wątplenia – jak puentuje – „o czymś to świadczy”.

O czymś świadczy jednak również brak solidarności pomiędzy kobietami zajmującymi się polityką zagraniczną. Brakuje inicjatyw zrzeszających środowisko, a już tym bardziej jego kobiecą część. I o ile takie stowarzyszenia istnieją w biznesie, czy wśród kobiet polityczek, analityczki są skazane praktycznie same na siebie. „Tak naprawdę to pustynia” słyszę, gdy pytam jakie są formy zrzeszeń polskich kobiet zajmujących się polityką zagraniczną. Nie mamy ani jednego stowarzyszenia, nieformalnej grupy na Facebooku, nie organizujemy spotkań, śniadań, pogadanek. Negatywną konsekwencją braku takich inicjatyw

jest mniejsza ilość kontaktów (a cały czas mówimy o relacyjności, prawda?), a co za tym idzie mniejsza reprezentatywność w panelach (jak się nie znamy, to się nie zapraszamy i nie wspieramy) i mniejsze zaangażowanie na poziomie przywódczym. W myśl zasady „ciszej jedziesz, dalej dojedziesz” Polki zajmujące się polityką zagraniczną oddają poniekąd ster swoim kolegom po fachu, niewiele się angażując w inicjatywy, które w jakikolwiek pomogłyby im zmienić jakże dla nich niekorzystny status quo. Ich relacje, o ile częstokroć serdeczne, są na razie jeszcze za słabe by mogła powstać grupa wspierająca pozycję kobiet w polityce zagranicznej.

Ponieważ celem mojego badania było porównanie sytuacji kobiet w polityce zagranicznej w trzech państwach, kolejnym etapem zbierania materiałów był Kijów. Przygotowując się do wyjazdu do stolicy Ukrainy ogromnie mnie ciekawiło, jaką rolę pełnią kobiety w postmajdanowej polityce. Czy ostatnia rewolucja, powszechnie nazywana Rewolucją Godności, faktycznie przyniosła zmianę i większe zaangażowanie kobiet na wszystkich poziomach tworzenia nowego porządku? Z perspektywy rozważań nad relacyjnością Ukraina zdaje się być przypadkiem szczególnym. Opowiadając się za drogą europejską społeczeństwo ukraińskie, głównie dzięki ciągłej aktywności ogromnej rzeszy wolontariuszy, stara się wprowadzić w życie – częstokroć jeszcze wbrew woli rządzących – szeroko zakrojone zmiany polityczne, które są powszechnie utożsamiane z demokratycznym sposobem rządzenia.

W Kijowie rozmawiam z dziewczynami pracującymi w trzech najważniejszych ukraińskich think tankach zajmujących się polityką zagraniczną. Wśród nich jest Alyona Getmanchuk, “gwiazda ukraińskiej polityki zagranicznej”, jak informują mnie znajomi jeszcze przed wyjazdem. Rzeczywiście, trudno inaczej określić jedyną Ukrainkę, której udało się przeprowadzić wywiad z amerykańskim prezydentem, o czym nie tylko przypomina pięknie oprawione zdjęcie z Białego Domu wyeksponowane na półce w jej gabinecie, ale też i sama Alyona nie zapomni o tym fakcie wspomnieć w toku naszej rozmowy. Opowiada mi również o początkach swojej instytucji, którą założyła po tym, gdy doświadczyła szklanego sufitu w kijowskich kręgach dziennikarskich. Przekierowując jednak uwagę mojej rozmówczynie z jej osobistej kariery na szersze tory całościowego spojrzenia na sytuację kobiet w Ukrainie staram się – dzięki niej – zrozumieć zasięg i głębię zmian, również względem kobiet zajmujących się polityką zagraniczną, jakie przyniosła ostatni ukraińska rewolucja. Alyona, która politykę zagraniczną swojego państwa współtworzy już od ponad 20 lat, wskazuje rzeczywiście na pewne znaczące zmiany mentalne i instytucjonalne, w tym ustanowione w lipcu 2015 roku prawo, które nakazuje 30-procentowe kwoty w partiach

politycznych. Nie bez znaczenie jest tu również pierwsza kobieta, Olena Zerkal, na stanowisku zastępcy ministra spraw zagranicznych Ukrainy. Entuzjastycznie o tej nominacji wypowiadały się wszystkie moje ukraińskie rozmówczynie.

Z naszych rozmów wnioskuję jednak, że sytuacja dziewczyn w Kijowie znacznie się jednak różni od naszych polskich doświadczeń. Wiele ukraińskich analityczek przyznaje bowiem, że w pomajdanowskiej Ukrainie jest dla wszystkich miejsce, bez względu na płeć. Aktywizm jest nadal bardzo silny i każdy, kto tylko ma pomysł i odpowiednią determinację ma drogę otwartą. Oczywiście moje rozmówczynie nie stronią od wątków kulturowych; wspominają sowiecki model dyplomacji i jego dzisiejsze pozostałości. W przeciwieństwie jednak do analityczek, z którymi rozmawiałam najpierw w Polsce, a potem w Berlinie, Ukrainki potrafiły sformułować takie zdania, jak: „Nigdy nie czułam, że bycie kobietą jakoś wybitnie mi w tej pracy przeszkadza. Wręcz przeciwnie. Czasem mi pomagało. Szczególnie w negocjacjach”, czy „Nie doświadczyłam żadnej dyskryminacji. To prawda, że w mojej pracy otaczam się mężczyznami; jest ich zdecydowanie więcej, ale naprawdę nie czuję, żebym była jakoś dyskryminowana”, a nawet „kobiety są po prostu mniej ambitne i brakuje im wiary w siebie”.

O ile te sformułowanie nie padły z ust wszystkich moich rozmówczyń, to bez wątplenia wskazują na pewien paradoks: chociaż demokratyzacja Ukrainy zdaje się przebiegać zgodnie z zasadą równouprawnienia, to jednak wśród tworzących ją podmiotów można odnotować jeszcze opór wobec ujmowania tej problematyki w zachodnich kategoriach, w tym również tych, które pozwolą oddać również negatywne zjawiska, np. dyskryminację ze względu na płeć. Ta cecha tłumaczy, dlaczego moje rozmówczynie niejako uciekają przed ujmowaniem problemów w terminologię gender, jak również dlaczego równocześnie potrafią przyznać, że posiadanie dzieci to poważny problem jeśli chce się awansować, wskazując, że choć zdarzają się przypadki mężczyzn, którzy biorą urlopy tacierzyńskie, to jednak w większości przypadków problem ten dotyczy kobiet. Ich zdaniem wsparcie, które otrzymują młode ukraińskie matki jest na obecnym etapie niewystarczające.

Kolejny przystanek – Berlin. Stolica państwa rządzonego twardą ręką kobiety, która – jak słyszę od wielu osób – kwestię równouprawnienia traktuje również w sposób dla siebie charakterystyczny; niewiele o niej mówiąc, budując swoją pozycję poprzez działanie. Ta córka pastora, której kibicuję w momencie naszych rozmów, prawie wszystkie moje rozmówczynie bez wątplenia pełni teraz kluczową rolę jeśli chodzi o przyszłość Europy, ale raczej nie zapisze się w historii swojego państwa jako przełomowa polityczka działająca na rzecz kobiet. Kobiet, dzięki, którym pozycja niemieckich analityczek jest inna od pozycji ich

polskich czy ukraińskich koleżanek, było i jest w Niemczech sporo. Nie bez powodu w moich rozmowach w Berlinie przewijają się nieustannie takie nazwiska, jak Rita Suessmuth, Marie Louise Beck, Constanze Stelzenmuelle, czy Sylke Tempel. Przykład Tempel powraca w każdej niemal rozmowie na temat organizacji zrzeszających kobiety w polityce zagranicznej. To bowiem dzięki tej dynamicznej redaktorce naczelnej pisma „International Politik” sieć „Women in International Security” (WIS), od paru lat prowadzi słynne już kobiece śniadanie-panel w trakcie prestiżowego forum bezpieczeństwa, które odbywa się co roku w Monachium.

Z rozmów berlińskich widzę jasno, że w Niemczech kobiety poradziły sobie z dwoma problemami, które jeszcze wymagają pracy od Polek i Ukrainek. Są to mianowicie; wzajemne się wspieranie poprzez tworzenie sieci kobiet zajmujących się polityką zagraniczną oraz bardziej równościowe podejście do problemu urlopów wychowawczych. O ile w przypadku tego ostatniego sytuacja nadal nie jest idealna (wiele rozmówczyń wskazuje na lepsze rozwiązania we Francji czy krajach skandynawskich) i – jak to ujęła jednak z analityczek pracująca w międzynarodowym think-tanku z siedzibą w Berlinie – „wiele kobiet nadal czuję, że powinno wybrać pomiędzy pracą a karierą” zmiany się dokonują i – jak wskazuje rozmówczynie z największym stażem pracy w polityce zagranicznej – każda dekada przynosi poprawę.

Podobnie jak problem pogodzenia pracy zawodowej i życia prywatnego, tak i zhora, jaką stanowią stuprocentowo męskie panele, wydaje się być mniej widoczna. Nie jest zjawiskiem w Niemczech całkowicie nieobecnym, choć oczywiście jego skala jest daleka od tego, co spotykamy w Polsce czy na Ukrainie. Mężczyźni również w tym kraju nie oddają ot tak swojej uprzywilejowanej pozycji w polityce zagranicznej, choć bez porównania łatwiej z nimi rozmawiać o równouprawnieniu kobiet i mężczyzn, niż w pozostałych dwóch stolicach. Dowodem na to jest fakt, że w Berlinie jednym z moich rozmówców jest mężczyzna.

Pobyt w trzech miastach europejskich i rozmowy z analityczkami, które poprzez swoją pracę tworzą – w praktyce i teorii – nowe podejścia do spraw międzynarodowych, były dla mnie trudną próbą uchwycenia rzeczywistego procesu tworzenia polityki zagranicznej i sił nią kierujących. Próbowałam w niej dociec dlaczego, pomimo jasnych i głośnych deklaracji równouprawnienia, kobiety nadal pełnią role drugorzędne i czy dominacja mężczyzn nie jest całkowicie dla tej dziedziny przesądzona. Doświadczenie, które nabyłam w trakcie tego badania nakazuje mi ostrożny optymizm. Zmiana i postęp są możliwe i mają miejsce we wszystkich trzech państwach. Niestety ich zakres jest nierównomierny i w wielu kwestiach blokowany wewnętrznie. A zatem: deklarowany paradygmat relacyjny nie jest być może

utopią, lecz i do rzeczywistości może mu być jeszcze w pewnych miejscach daleko. W rzeczywistości bowiem faktycznie „jesteśmy, ale nas nie ma”.

Dr Iwona Reichardt – autorka jest laureatką stypendium Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej (FWPN), planuje kontynuację badań i publikacji na temat pozycji kobiet w polskiej, niemieckiej i ukraińskiej dyplomacji i polityce zagranicznej. Rozmowy do tego tekstu zostały przeprowadzone w Warszawie, Berlinie i Kijowie dzięki finansowemu wsparciu FWPN.

Tekst został opublikowany w piśmie „Zadra” (nr. 1-2 (66-67) 2016.